

Ryszard Kapuściński



JESZCZE DZIEŃ ŻYCIA

C z y t e l n i k

Ryszard Kapuściński

**JESZCZE
DZIEN
ŻYCIA**

CZYTELNIK

Opracowanie graficzne
Andrzej Heidrich

© Copyright by the Estate of Ryszard Kapuściński, 2007

ISBN 978-83-07-03317-4

- 1. Jesteśmy ludźmi*
40. *Kiedy strach nadejdzie, sen rzadko się zjawia*
53. *Nie wszystko wszyscy możemy*
71. *Żeglarz opowiada o wiatrach, rolnik o wołach,
żołnierz wylicza rany*
154. *Dopóki oddycham, mam nadzieję*
187. *Życie jest czuwaniem*
303. *Nie ma życia w wojnie*
322. *Człowiek człowiekowi wilkiem*
326. *W ogrodach Bellony rodzą się nasiona śmierci*
336. *Zawsze niepewne są wyniki bitew*
338. *Dwa razy zwycięża, kto siebie zwycięża
w zwycięstwie*
340. *Umiesz zwyciężać, Hannibalu, nie umiesz
zwycięstwa wykorzystać!*
344. *Jedynym ocaleniem dla zwyciężonych – nie
spodziewać się ocalenia*
345. *Zwyciężeni zwyciężyliśmy*
349. *Kim był ten, kto pierwszy wydobyl straszne
miecze?*

„VERTE”, łacińskie przysłowia, sentencje
i ulotne słowa zebrał, ułożył, przetłumaczył
i opracował Stefan Staszczuk przy udziale Karola
Jawińskiego, PZWS, Warszawa 1959

Zamykamy miasto

Trzy miesiące mieszkałem w Luandzie, w hotelu „Tivoli”. Z okna miałem widok na zatokę i port. Przy nabrzeżach stało kilka statków handlowych europejskich linii oceanicznych. Ich kapitanowie utrzymywali łączność radiową z Europą i mogli wiedzieć o tym, co stanie się w Angoli, lepiej i więcej niż my, zamknięci w oblężonym mieście. Kiedy po świecie rozchodziła się wiadomość, że zbliża się bitwa o Luandę, statki odpływały w głąb morza i zatrzymywały się na granicy horyzontu. Razem z nimi oddalała się ostatnia nadzieja na ratunek, ponieważ ucieczka drogą lądową była niemożliwa, a powtarzała się pogłoska, że w każdej chwili nieprzyjaciel zbombarduje i unieruchomi lotnisko. Potem okazało się, że termin ataku na Luandę został przesunięty i flota wracała do zatoki w nie kończącym się oczekiwaniu na ładunek kawy i bawełny.

Ruch tych statków był dla mnie ważnym źródłem informacji. Kiedy pustoszała zatoka, zaczynałem przygotowywać się na najgorsze. Nasłuchiwałem, czy nie zbliżają się odgłosy kanonady artyleryjskiej. Zastanawiałem się, czy nie ma aby prawdy w tym, co szeptali między sobą Portugalczycy, że w mieście ukrywa się dwa tysiące żołnierzy Holdenego Roberto, którzy czekają tylko na rozkaz rozpoczęcia rzezi. Ale wśród tych niepokojów statki znowu wpływały do zatoki. Nie znanych mi marynarzy witałem w myślach jak zbawców: na jakiś czas zapowiadała się cisza.

W sąsiednim pokoju mieszkało dwoje starych ludzi – don Silva, handlarz diamentów, i jego żona – dona Esmeralda, która umierała na raka. Dożywała ostatnich dni bez pomocy i ratunku, ponieważ zamknięto już szpital, a lekarze wyjechali. Jej ciało ginęło w stercie poduszek, poskręcane z bólu. Bałem się tam wstępować. Kiedyś wszedłem i spytałem, czy nie przeszkadza jej, że nocami stukam na maszynie. Jej myśl wydostała się z bólu na moment, na tyle tylko, by powiedzieć:

– Nie, Ricardo, mnie już nic nie może przeszkodzić, żeby dojść do końca.

Don Silva godzinami chodził po korytarzu. Kłócił się z wszystkimi, wyzywał świat, kark pęczniał mu od złej krwi. Krzyczał nawet na czarnych, choć już w tym czasie wszyscy traktowali ich grzecznie, a jeden z naszych sąsiadów nabrał nawet takiego zwyczaju, że zatrzymywał zupełnie nieznanych Afrykańczyków, podawał im rękę i kłaniał się uniżenie. Tamci myśleli, że wojna pomieszała mu zmysły i odchodzili pospiesznie. Don Silva czekał na przyście Holdena Roberto i wypytywał mnie, czy wiem coś na ten temat. Widok odpływających statków napełniał go największą radością. Zacierał ręce, prostował się w krzyżu, pokazywał sztuczne zęby. Mimo przygniatających upałów chodził zawsze w ciepłym ubraniu. W fałdy garnituru miał powszywane różańce diamentów. Raz w przyływie zadowolenia, kiedy wydawało się, że FNLA jest już u wejścia do hotelu, pokazał mi garść przezroczystych kamyczków, które wyglądały jak drobno potłuczone szkło. Były to diamenty. W hotelu mówili, że Silva nosi na sobie pół miliona dolarów. Stary miał serce rozdarte. Chciał uciec ze swoim bogactwem, a przykuwała go choroba dony Esmeraldy. Bał się, że jeżeli nie wyjedzie natychmiast, ktoś doniesie i odbiorą mu jego skarby. Nigdy nie wychodził na ulicę, chciał nawet wprawić dodatkowy zamek, ale

wszyscy fachowcy już wyjechali i w Luandzie nie było człowieka, który by potrafił to zrobić.

Naprzeciw mnie mieszkała młoda para – Arturo i Maria. On był urzędnikiem kolonialnym, a ona spokojną, milczącą blondyną o zamglonych, zmysłowych oczach. Czekali na wyjazd, ale najpierw musieli wymienić pieniądze angolańskie na portugalskie, a to trwało tygodniami, bo kolejki do banków były kilometrowe. Nasza sprzątaczką, żwawa, ciepła staruszka – dona Cartagina, doniosła mi oburzonym szeptem, że Arturo i Maria żyją na wiarę. To znaczy, żyją jak Murzyni, jak ci bezbożnicy z MPLA. W jej skali wartości był to najniższy stopień degradacji i pohańbienie białego człowieka. Dona Cartagina też czekała na przyjsie Holden Roberto. Nie wiedziała, gdzie są jego wojska, i pytała mnie skrycie o nowiny. Pytała także, czy dobrze piszę o FNLA. Mówiłem, że tak, że entuzjastycznie. Z wdzięczności sprzątała mi zawsze pokój na najwyższy połysk, a kiedy w mieście nie było co pić, przynosiła mi – nie wiadomo skąd – butelkę wody.

Maria traktowała mnie jak człowieka, który przygotowuje się do samobójstwa, ponieważ powiedziałem jej, że zostaję w Luandzie do dnia niepodległości Angoli, do 11 listopada. Jej zdaniem do tego czasu z miasta nie pozostanie kamień na kamieniu. Wszyscy zginą i powstanie tu wielkie cmentarzysko, zamieszkane przez sępy i hieny. Radziła mi, żebym szybko wyjeżdżał. Zrobiłem z nią zakład o butelkę wina, że przetrwam i że spotkamy się w Lizbonie, w eleganckim hotelu „Altis” 15 listopada, o siedemnastej. Spóźniłem się na to spotkanie, ale w recepcji Maria zostawiła mi kartkę, że czekała i że następnego dnia wyjeżdżają z Arturo do Brazylii.

Cały hotel „Tivoli” był zapchany po brzegi i przypominał nasze dworce tuż po wojnie, wyładowane tłu-

mem, na przemian nerwowym i apatycznym, oraz ster-tami byle jak powiązanych tłumoków. Wszędzie pachniało źle, kwaśno, budynek wypełniała lepka, dławiąca duchota. Ludzie pocili się z gorąca i ze strachu. Panował nastrój apokalipsy, wyczekiwania na moment zagłady. Ktoś przyniósł wiadomość, że w nocy zbombardują miasto. Ktoś inny dowiedział się, że w swoich dzielnicach czarni ostrzą noże i chcą je próbować na portugalskich gardłach. Lada moment miało wybuchnąć powstanie. Jakie powstanie? – dopytywałem się, żeby napisać o tym do Warszawy. Nikt nie wiedział dokładnie. Po prostu – powstanie, a co za powstanie, to się okaże, jak wybuchnie.

Plotka wycieńczała wszystkich, targała nerwy, odbierała zdolność myślenia. Miasto żyło w atmosferze histetrii, dygotało z lęku. Ludzie nie wiedzieli, jak poradzić sobie z rzeczywistością, która ich teraz otaczała. Jak ją wyjaśnić, jak oswoić. Mężczyźni gromadzili się na korytarzach hotelu i odbywali narady sztabowe. Przyziemni pragmatycy byli za tym, żeby hotel na noc barykadować. Ci, którzy mieli szersze horyzonty i zdolność globalnego spojrzenia na świat, uważali, że trzeba wysłać depezę do ONZ z apelem o interwencję. Ale wszystko, jak to jest w latynoskim zwyczaju, kończyło się na dysputach.

Wieczorami latał nad miastem samolot i zrzucał ulotki. Był to samolot pomalowany na czarno, bez świateł i znaków. Ulotki mówiły, że wojska Holden Roberto stoją pod Luandą i że wejdą do stolicy choćby jutro. Żeby ułatwić to zadanie, wzywa się ludność do wymordowania wszystkich Rosjan, Węgrów i Polaków, którzy dowodzą oddziałami MPLA i są sprawcami całej wojny i wszystkich nieszczęść, jakie spadły na umęczony na-

ród. Działo się to we wrześniu, kiedy w całej Angoli byłem jedynym człowiekiem z Europy wschodniej. W mieście grasowali bojówkarze z PIDE, przychodzili do hotelu, pytali, kto w nim mieszka. Byli bezkarni, w Luandzie nie istniała żadna władza, a oni chcieli mścić się za wszystko, za rewolucję goździków, za utraconą Angolę, za złamane kariery. Każde pukanie do drzwi mogło być dla mnie złym sygnałem. Staralem się o tym nie myśleć, jest to jedyny sposób na takie sytuacje.

Bojówkarze zbierali się w nocnym barze „Adao”, obok hotelu. Było tam zawsze ciemno, kelnerzy chodzili z latarkami. Właściciel baru, gruby, zniszczony playboy, o oczach przekrwionych, przesłoniętych spuchniętymi powiekami, wziął mnie raz do swojego kantorku. Od podłogi do sufitu ściany były zabudowane półkami, na półkach stało dwieście dwadzieścia sześć odmian whisky. Wyciągnął z szuflady biurka dwa pistolety i położył je przed sobą.

Zabiję tym dziesięciu komunistów i dopiero będę spokojny, powiedział.

Patrzyłem na niego, uśmiechałem się i czekałem, co zrobi. Przez drzwi słychać było muzykę, bojówkarze zabawiali się z pijanymi Mulatkami. Gruby schował pistolety i zatrzaskał szufladę. Do dziś nie wiem, dlaczego zostawił mnie w spokoju. Może należał do ludzi, jakich nieraz spotykałem, którym większą satysfakcję od zabijania daje świadomość, że mogliby zabić, a tego nie robią.

Przez cały wrzesień kładłem się spać nie wiedząc, co stanie się tej nocy i następnego dnia. Koło mnie kręciło się kilku typów, rozpoznawałem ich twarze. Spotykaliśmy się ciągle, nie zamieniając słowa. Nie wiedziałem, co robić. Z początku postanowiłem czuwać, nie chciałem, żeby mnie zaskoczyli w czasie snu. Ale w połowie nocy napięcie słabło i zasypiałem w ubraniu, w butach,

na wielkim łóżku pięknie zasłanym przez donę Cartagi-
nę.

MPLA nie mogło mnie obronić: ci ludzie byli daleko, w dzielnicach afrykańskich, albo jeszcze dalej – na froncie. Dzielnica europejska, w której mieszkałem, do nich jeszcze nie należała. Dlatego lubiłem jeździć na front – tam było bezpieczniej, bardziej swojsko. Jednakże wyjazdy takie trafiały się rzadko. Nikt, nawet ludzie ze sztabu, nie umieli dokładnie określić, gdzie jest front. Nie było komunikacji ani łączności. Samotne, małe oddziały niewprawnych, początkujących partyzantów, zagubione w ogromnych, zdradliwych przestrzeniach, poruszały się to tu, to tam, bez planu i myśli. Tę wojnę każdy prowadził na swoją rękę, każdy był zdany na siebie.

Codziennie, o dziewiątej wieczorem odzywała się Warszawa. W aparacie teleksu, który stał w recepcji, zapalało się światło i maszyna wystukiwała sygnał:

814251 PAP PL DOBRY WIECZOR PROSIMY NADAWAC

albo:

NARESZCIE UDALO NAM SIE POLACZYC

albo:

CZY COS DZISIAJ DOSTANIEMY? PLS GA GA.

Odpowiadałem:

OK OK MOM SVP

i włączałem taśmę z tekstem depezy.

Dla mnie godzina dziewiąta była najważniejszą chwilą dnia, była powtarzającym się każdego wieczora przeżyciem. Pisałem codziennie, pisałem z pobudek najbardziej egoistycznych, przełamywałem wewnętrzny bezwład i depresję, żeby zrobić choćby najkrótszą depeszę i utrzymać łączność z Warszawą, bo to ratowało mnie przed samotnością i poczuciem opuszczenia. Jeżeli miałem czas, warowałem przy teleksie na długo przed dziewiątą. Zapalające się światło wzbudzało we mnie taki sam entuzjizm, jaki w człowieku zagubionym na pustyni wywołuje odnalezione nagle źródło. Starłem się na wszystkie sposoby przeciągać czas tych seansów. Opisywałem szczegółowo wszystkie bitwy. Pytałem, jaka jest pogoda w kraju, i skarżyłem się, że nie mam co jeść. Ale w końcu przychodził moment, kiedy Warszawa odzywała się:

ODBIOR DOBRY LACZYMY SIE JUTRO GODZ. 20 00 GMT DZKB
BY BY

światło gasło i znowu zostawałem sam.

Luanda ginęła inaczej niż nasze miasta w latach wojny. Nie było nalotów, pacyfikacji, burzenia dzielnicy za dzielnicą. Nie było cmentarzy na ulicach i placach. Nie pamiętam ani jednego pożaru. Miasto umierało tak, jak ginie oaza, w której wyschły studnie – pustoszało, zapadało w martwość, odchodziło w zapomnienie. Ale ta agonia nastąpiła później, na razie wszędzie panował gorączkowy ruch. Wszyscy spieszyli się, wszyscy wyjeżdżali! Każdy starał się odlecieć najbliższym samolotem do Europy, do Ameryki, byle gdzie. Do Luandy ściągali Portugalczycy z całej Angoli. Z najdalszych zakątków przyjeżdżały karawany samochodów wyladowa-

nych ludźmi i bagażem. Mężczyźni zarośnięci, kobiety wymięte i rozczochrane, dzieci brudne i senne. Po drodze uciekinierzy łączyli się w długie kolumny i tak przemierzali kraj, bo im większa gromada, tym bezpieczniej. Z początku zajmowali w Luandzie hotele, ale potem nie było już miejsc, więc kierowali się prosto na lotnisko. Wokół lotniska powstało koczownicze miasto, bez ulic i domów. Ludzie mieszkali pod gołym niebem, wiecznie zmoknięci, bo ciągle padały deszcze. Żyli teraz gorzej niż czarni w sąsiadującej z lotniskiem dzielnicy afrykańskiej, ale przyjmowali to apatycznie, z ponurą rezygnacją, nie wiedząc, kogo przeklinać za swój los. Salazar już nie żył, Caetano uciekł do Brazylii, a w Lizbonie rządy ciągle się zmieniały. Wszystkiemu winna była rewolucja, bo przedtem panował spokój. Teraz rząd obiecał czarnym wolność, czarni pobili się między sobą, palą i mordują. Oni nie są zdolni do rządzenia. Czarny to tak: wypić, a potem spać cały dzień. Nawieszka na siebie koralików i chodzi zadowolony. Pracować? Tutaj nikt nie pracuje. Oni żyją jak sto lat temu. Jak sto, panie? Jak tysiąc! Ja widziałem takich, co żyją jak tysiąc lat temu. A co można wiedzieć, jak było tysiąc lat temu? Pewnie, że można, każdy wie, jak było. Tego kraju więcej nie będzie. Mobutu weźmie kawałek, ci z południa wezmą kawałek i tak się skończy. Żeby tylko zaraz stąd odlecieć. Żeby na to więcej nie patrzeć. Ja tu włożyłem czterdzieści lat pracy. Całą swoją krwawicę. Kto mi teraz zwróci? Pan myśli, że można zacząć życie od nowa?

Ludzie siedzą na tobołkach okryci plastykiem, bo deszcz siąpi, medytują, rozważają wszystko. Czasem w tym porzuconym tłumie, który wegetuje tutaj tygodniami, wybucha iskra buntu. Kobiety pobijają żołnierzy wyznaczonych do pilnowania porządku, a mężczyźni usiłują porwać samolot, aby świat dowiedział się, do jakiej

rozpaczy zostali doprowadzeni. Nikt nie wie, kiedy stąd odleci i w jakim kierunku. Panuje kosmiczny bałagan. Zorganizować Portugalczyków jest trudno, ponieważ są to zdeklarowani indywidualiści, natury, które nie potrafią żyć w ścisłości i we wspólnocie. Pierwszeństwo mają kobiety ciężarne. Dlaczego one? Czy ja mam być gorsza, bo urodziłam pół roku temu? Dobrze, pierwszeństwo mają ciężarne i z niemowlętami. Dlaczego one? Czy mam być gorsza, bo mój syn skończył trzy lata? Dobrze, pierwszeństwo mają kobiety z dziećmi. Tak? A ja, dlatego że jestem mężczyzną, mam tutaj zginąć? I oto co silniejsi ładują się do samolotu, a kobiety z dziećmi kładą się na betonie, pod kołami, tak żeby piloci nie mogli ruszyć, przychodzi wojsko, wypędza mężczyzn, każe wsiadać kobietom, one wchodzi po schodkach triumfujące, jak oddział zwycięzców do nowo zdobytego miasta.

Dajmy najpierw odlecieć załamany nerwowo. Doskonale, nie trzeba daleko szukać, żeby nie wojna, już dawno byłbym w domu wariatów. A nas pod Carmoną napadł oddział dzikusów, wszystko zabrali, pobili, chcieli rozstrzelać. Do dzisiaj jestem cała rozdygotana. Oszałeję, jeżeli nie wylecę stąd natychmiast. Moi drodzy, powiem wam tylko tyle, że straciłem cały dorobek życia. Poza tym, u nas, w Lumbale, dwóch z UNITA trzymało mnie za włosy, a trzeci przystawił mi lufę do samego oka. Uważam, że jest to dostateczny powód, żeby postradać zmysły.

Żadne kryterium nie zyskiwało aprobaty ogółu. Zrozpaczony tłum napierał na każdy samolot, mijały godziny, nim dało się ustalić, kto wreszcie dostanie miejsce.

Trzeba przewieźć pół miliona uchodźców mostem powietrznym na drugi koniec świata.

Wszyscy wiedzą, dlaczego chcą wyjechać. Oni wiedzą, że wrzesień da się przetrwać, ale w październiku

A dona Cartagina? Boję się o tym myśleć. Bo jeżeli jej już nie ma? Ale to właśnie wydaje mi się niemożliwe. Bez dony Cartaginy nie umiem sobie wyobrazić ani Luandy, ani Angoli, ani całej tej wojny. Dlatego jestem pewien, że jeżeli będziecie w Luandzie, wcześniej czy później spotkacie siwą staruszkę, jak idzie rano w stronę hotelu „Tivoli”. Spieszy się, gdyż jak co dzień czeka ją dużo sprzątanina. Jeżeli ją zatrzymacie i spytacie – Przepraszam, czy dona Cartagina? kobieta przystanie na chwilę, spojrzy zdumiona, a potem uprzejmie odpowie – Tak, to ja.

I żwawo pójdzie dalej.

ISBN 978-83-07-03429-4



9 788307 034294

www.czytelnik.pl